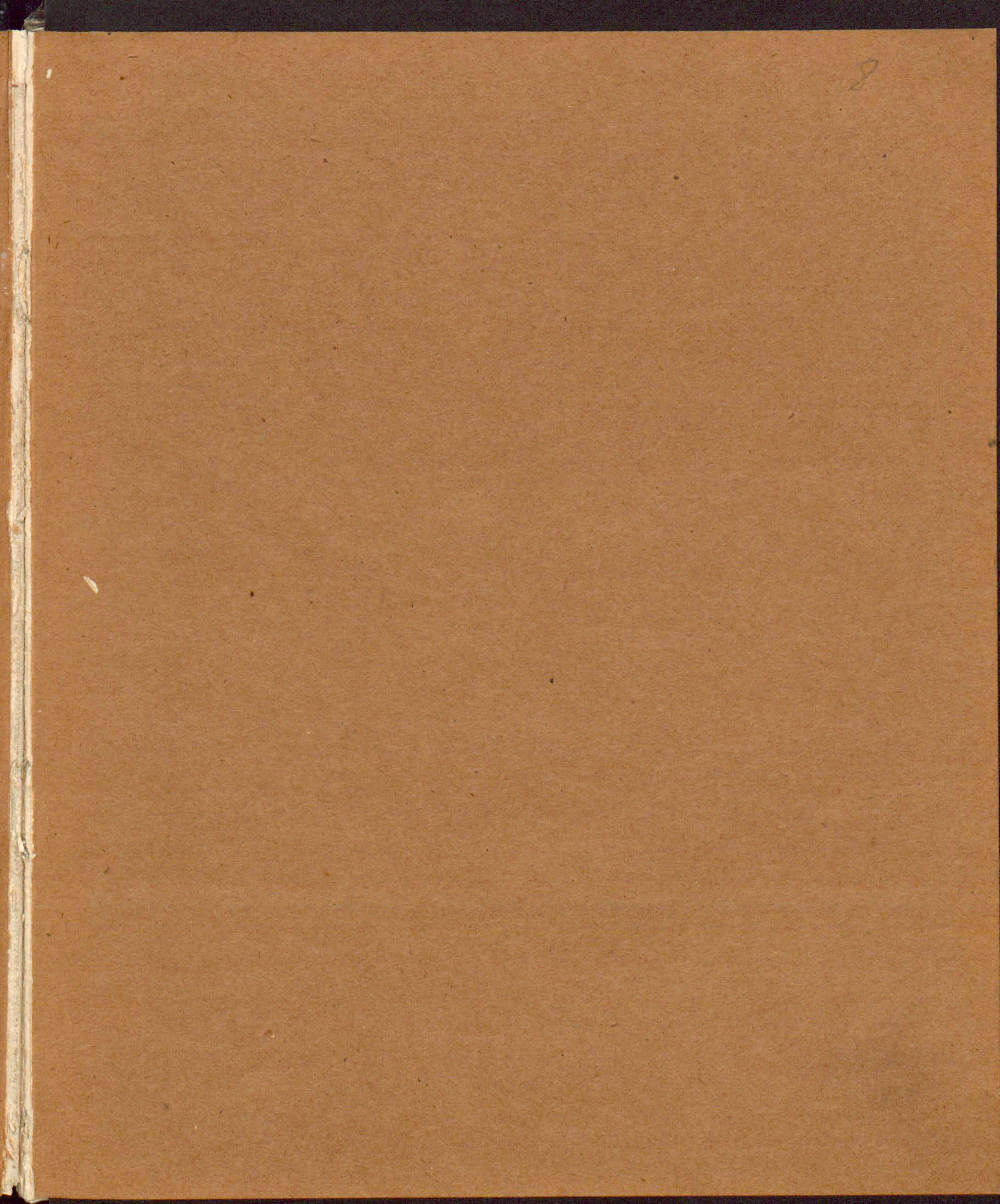


Ku nowym drogom.

Drogiemu memu
Ojcu

poświęcam —.

Piotrówka wiosna 1894 r.

IV

28 Listopada 1890.

A więc dziś jeszcze jedna rocznica, rok jeden mi przybył. Ćwierć wieku, mój Boże, jak to wiele i jak mało zarazem. – Ćwierć wieku, toć to kropla wody w oceanie czasu, a w mojem biednem życiu stanowi całość dużą, olbrzymią nawet.

Życie moje: biedne, powiadam. Dlaczego biedne? Czy może kto życie swoje biednem nazywać, gdy ma lat dwadzieścia pięć, jest zatem w pełnym sił rozkwicie, ma wszelkie zadowolenie potrzeb fizycznych i jest nadto osobą z pewnem w świecie stanowiskiem, to: panną na wydaniu.

Otóż to ostatnie jest odwrotną stroną medalu i każe mi często myśleć, że życie moje jest biedne.

Dziś, gdy mi wszyscy życzenia swoje skła-

2-

dali, myślałam: czego mi oni winszują,
czy tego, że teraz skończyłam lat 25, rok
temu 24, dawniej 23; lecz jakaż różnica mię-
dzy temi laty, jaka korzyść z tego czasu,
który już dla mnie nie wróci, nie wróci!
Byłam i jestem Ludwiką Zgorzelską, pan-
ną na wydaniu. Tak, to jest jedyny
tytuł, który mi bez zasługi nawet ża-
dnej przyznano. Urodziłam się, uczono
mnie chodzić, mówić, abecadła, — gdy
czas przyszedł — oddano na pensję, do-
stałam patent, co z kolei rzeczy wypa-
dło, i tu się kończy ten okres mego
życia, w którym mogłam sobie dokładnie
nadawać imiona: niemowlęcia, dziecka, pensjonarki.
A dziś? Dziś nazwać siebie nie mogę,
bo czemże jestem? Jestem jak źdźbło
słomy zamknięte w przezroczystej tafli
lodu, które się stamtąd w żaden sposób
wydobyć o własnej sile nie może, a trze-
ba mu na to jednego wielkiego czynnika:

Słońca.

Dla panien tym czynnikiem jest: mąż.
Otóż i rozwiązana zagadka panny na wydaniu.
Jeśli chce być uwolnioną z pętów, wyjrzeć
na świat w postaci mężatki poważnej, do=
stać tytuł, stanowisko wśród ludzi, a co
najważniejsza - cel w życiu, powinna się
postarać o tego wszechpotężnego męża.
Tyle mi razy powtarzała to ciocia Aneta,
Dziadunio, że powinnam już nakoniec uwie=
rzyć w tę wielką, przewodnią ideę panien:
polowania na męża.
Gruba to zwierzyna, ha i dobra ostate=
cznie, ale cóż na to poradzić, gdy się
nie ma szczęścia do niej!
Ileż to razy Dziadunio mi mówił, że naj=
większą filozofią, ~~życia~~ jest brać życie
takiem, jakiem ono jest, nie poddając
wszystkiego ścisłym krytykom i analizom.
Dziadunio mój drogi, masz słuszność, słu=
szność wielką, lecz cóż ja biedna poradzę,

że choć rady twoje trafiają do mego prze-
konania, z naturą swoją zgodzić się nie chcą,
walczą z nią i zawsze zwyciężone zostają.
Mój Dziadziu taki dobry, taki rozumny,
on mi od śmierci rodziców zastępował ich
ciągle wraz z ciocią Anetą i po raz tysią-
czny dzięki im składam obojgu za te wszy-
stkie starania, któremi mię otaczali.
Oni mię kochają oboje, wiem o tem, ale
i nie rozumieją.
Dziadziu należy do ogółu tych ludzi, którzy
idą raz utartą ścieżką, uważając ją za je-
dyną do kresu wiodącą, nie uznając nowej
siły, któraby inne drogi torować mogła.
Wychowany w pewnych zasadach, uważa je
za święte i nieprzełamane, w dzieci swoje
je wpajał, mnie pokazał i uważać każe
za nienaruszone. Kobietom Dziadziu
przeznacza szerokie pole do działalności:
wychowywanie przyszłych pokoleń, obowiązki
które każda w swym własnym domu znaj-

do drogi, a panny zaś, są to istoty bierne,
które po wyjściu za mąż schodzą na
właściwą dla nich drogę pracy.
Ciocia Aneta jest wiernem dziecięciem epoki.
Dobra matka, wzorowa gospodyni, chcia-
łaby we mnie podziwiać zasady swoje w
czyn wprowadzone i najgorętszem jej
pragnieniem jest, by jaknajprędzej wi-
dzieć mnie mogła u boku męża, wśród
grona pociech domowych, z kluczykami
od śpiżarni zaopatrzonej w najlepsze
w świecie galarety, szynki [illegible] etc.
Byłabym czarną niewdzięcznicą, gdybym
nie uznawała słuszności tych poglądów
i nie widziała dobroci serca, które je
dyktuje. Mój Boże, czyż ja sama nie
czuję, że najbliższem mojemu sercu
byłoby życie u ogniska domowego, przy
boku rozumnego, kochanego i kochającego człowieka.
Jest to szczęście, o istnieniu którego, ka-
żda kobieta nosi w sobie głębokie i nie

zbite przekonanie, lecz czy może się stać udziałem każdej z nas?

Małżeństwo, — jest to, w gruncie rzeczy, najlepsza perspektywa, jaką panna widzi przed sobą, daje jej bowiem najczęściej byt, pewną swobodę, stanowisko, każe zmieniać dotychczasowy sposób życia, nie licującey niedaz z jej usposobieniem, a co najważniejsza daje jej cel w życiu, wyraźny, określony, jasny.

Otóż, jest co prawda spora gromadka nas panien, które z innego punktu na tę kwestję się zapatrują; dla nich wyjść wyjść za mąż — to dostać piękną wyprawę, karetę z szóstką, dom na nowo umeblowany, a w dodatku, jako sprzęt konieczny, męża.

Powiem nawet, że ten sposób zapatrywania się jest dość rozpowszechniony i często gamony, a jednak, czyż nie głęboko przykre, gorzkie wrażenie robi na ludziach, którzy myślą i pojmują dobrze, że małżeństwo jest podstawą wszystkiego społeczeństwa i że na

nie jedynie poważnie zapatrywać się wolno.
Ot, i wpadłam w ton moralizatorski, brzydka to, ujemna strona mojéj natury, że lubi od czasu do czasu rzucić na wiatr kazańka które jéj zgorzkniała, staropanieńskie serce dyktuje.
Przyznaj się bowiem Ludwisiu kochanie, że już starą panną zaczynasz być na dobre.
Brrr.. dobrze to mówić, nawet dowodzić innym, że się nic a nic nie zważa na te drobnostki, jak np: nazwa staréj panny bez przyznać się w głębi duszy przed samą sobą do tego tytułu, jakkie najstosowniejszego, - nie należy do najsłodszych nuta życia.
A jednak, tak, jestem starą panną, jeśli nie wiekiem (gdyż moje dwadzieścia pięć lat upoważniają mnie jeszcze do epoki młodości), to wodą, która niestety zeszła na nice.
Mój Boże, coby to komu szkodziło, żeby ja, Ludwika Zgorzelska, miała ninę, o ton mniej żółtką cerę przy bnimo blond

stojach, zgrabniejszą figurę.
I ja z temi kwalifikacjami, z mojem sy-
bio-zimnem usposobieniem w towarzystwach,
- Dziadziuś i Ciocia Aneta chcą mnie za mąż
wydać, by mi życie szczęśliwe zapewnić.
A prawda! Wszakżeż nawet miewałam kon-
kurenta!
Śmiać mi się chce, ile razy przyjdzie
mi na myśl niefortunne konkury pana Leona.
Cha... cha... cha... ja i pan Leon - dobrana para.
Ja, wcielona powaga (tytuł nadany mi przez
niego samego), trochę pozująca na emancy-
pantkę, wiecznie snująca jakieś marzenia
nieurzeczywistnione, - on, pierwszy lew
powiatu, znakomity dyrygent tańców (tak
się u nas przewodniczący w tańcu nazywają)
wysilający nieraz myśl kilkudniową nad
utworzeniem nowej figury mazurowej, lub
nad szczególnem klaśnięciem z bata, o, bo
baty, bicze, pejcze - to faible pana Leona,
ma ich izby całe, a wszystkie z pewno-
ścią,

jemu tylko znanymi przymiotami, cechami indywidualnemi, całą gamą tonów przy blaskami, powodzią barw, na jakie są pomalowane.

Takim miał być mąż dla mnie, dodać do tego należy, że on piękny, typowy blondyn ze zgrabnym wąsem i zawsze świeżą fryzurą, a ja, znacie mnie państwo, nie mająca prawa nawet udziału w konkursie piękności.

Co było powodem oświadczyn pana Leona, dotąd pojąć nie mogę. Domyśliłam się potem że była mu tylko fałszywa pogłoska o sukcesji, którą po dziadunium otrzymać miałam. Biedak nie wiedział, że oprócz ~~dzie~~ dwudziestu ~~trzech~~ tysięcy, pozostałych mi po ojcu, nie od nikogo odziedziczać nie będę, a Glinków i Czerepski, to już własność Wiktora, którą tylko dziadunio z panem Ambrożym zarządza, póki nasz chłopak nie wróci z Rygi, jako skończony inżynier.

Nie wiem skąd mi się żarty dziś wzięły, ~~ale~~ ale zaczynam żałować, żem tamtego wieczora nie przyjęła pana Leona, opowiedziawszy mu jednak o moich stosunkach majątkowych. Ach, cóżbym za pyszną minę widziała, i ten ruch ręką [illegible] przy każdym patetycznym wykrzykniku, bo mój ekskonkurent patos uprawia. No, nie umiałam korzystać z chwili, odmówiłam więc krótko, bez namysłu, gdyż cóżbym ja robiła całe życie z tym człowiekiem, któryby tak mnie rozumiał, jak ja rozumiem metodę jego bieżów.

Poszłam więc do Dziadusia, mówiąc jaki mię zaszczyt spotkał i jak ja go odrzuciłam, a Dziadziuś pokiwał tą swoją siwą głową i rzekł: „niech ci Bóg daje szczęście dziewczyno, bo nam będzie trudno ci dogodzić.”

Czyż naprawdę ja tak jestem niewzględnie wymagająca w życiu? Czyż doprawdy żadna

dusza duszy mojéj nie pojmie, nie od=
powie jéj pokrewną mową, żadne serce
współczesne nie uderzy mocą? I jakież prze=
kleństwo losu ciąży nademną, że muszę
iść przez życie samotna, niepojęta, nieroz=
umiana, innym stawić się nieznośną, a
jednak nosić w sobie serce pełne ognia
wewnętrznego, który mi szepce bezustannie:
naprzód, naprzód, podnoś zasłonę życia,
gdy się ona ku tobie odchylić nie chce,
stąpaj śmiało tam, gdzie inni widzą nie=
przebyte tamy, idź w górę, bo ci powie=
trze dolin oddech tamuje, szczęście oddala,
życie zatruwa. I idę, idę choć my=
ślą tylko, oddalam się od ścieżek utar=
tych, kąpię duszę moją w marzeniach
jasnych, snach różanych, w zapałach war=
tkich, które mnie ogarniają całą i
niosą ..... gdzie one mnie niosą?
Boże, i znowu ten idealizm, na co mi
pogrążać się w to morze głębokie i szerokie,

którego brzegów dojrzeć nie mogę.
I powtarzam sobie nieraz: miej rozum
dziewczyno, miej rozum; widzisz wygodne
gościńce przed sobą, którymi idą tłumy i
długo iść będą, na co ci szukać ścieżek nie-
utartych i cierniami porosłych. Cóż zna-
czy twoja nędzna figura z ogółem wielkim?
Jeśli nie możesz gorąco mu przyklaskiwać,
zaszyj się z myślami swemi w mysią dziu-
rę i tam siedź cicho, póki ci one z głowy
nie wywietrzeją.

10 Grudnia. Przyjechał Wiktor! O
mój drogi, złoty chłopak! Kocham go, jak
tylko matka syna jedynaka kochać może.
Dziwny jest stosunek między nami. On
choć o parę lat starszy odemnie szanu-
je mnie bardzo, wdzięczny za macierzyń-
skie uczucie, którem go darzę, a którego był w życiu swem
pozbawiony. Biedne dziecko, on nigdy mat-
ki nie znał, tak był od niej daleki

sercem i umysłem. Jak mógł ojciec jego wuj ~~Wiktor~~ Józef, ożenić się z taką prostą, złą, przewrotną kobietą, jaką była Justyna. Że żonę sobie znalazł w sferze nieodpowiedniej jego wychowaniu i wykształceniu, wybaczyć można, gdyż miłość rozumować nie umie; nie wydaje się jej dziwnem, by człowiek inteligentny, z dobrej rodziny, żenił się z bezdenną chłopką przybłędą, ale jakoś się nie dziwię, że człowiek tak uczuciowy, tak pełen szlachetnych popędów mógł ukochać takiego potwora pod względem moralnym. Justyna chciwa, zła, przebiegła, opętała biednego idealistę, tak go przygnębiła, tak skatowała moralnie, że po jej śmierci nie czuł się na siłach, by podjąć ~~się~~ wychowanie jedynaka i poszedł szukać, pod jasnem niebem włoskiem, balsamu na głębokie blizny swego serca. Teraz wuj Józef cały zatopiony w dociekaniach przyrodniczych, oraz w ekstazie religijnej, kończy swój twardy

z złamany żywot, a nasz chłoptaś kochany znalazł ojca w Dziaduniu, a matkę we mnie, gdyż doprawdy kocham go jak syna, on zaś mnie czasem nawet „mateczką" nazywa. Przyjechał dziś na ferje Bożego Narodzenia, a pisał dawniej ciągle, że nie wie napewno, czy się będzie mógł wyrwać do nas, gdyż ostatnie przygotowania do egzaminu dużo mu czasu zabierają.

Mój dobry, kochany Wiktor! Cały poranek zbiegł nam na wesołej gawędzie, na opowiadaniu tego, co się tu u nas w Glinkach dzieje, na przypominaniu ciągłem studentów z Dyg.

Jaki on ma humor ten chłopiec, jak on nas rozśmieszał wszystkich!

Dziaduś taki poważny, milczący zwykle, śmiał się z nami jak dziecko i cieszył się, że ten syn ukochanego jego syna ma wesołe, szczęśliwe usposobienie, że patrzy na świat z wiarą w swoje siły, młodość i gwiazdę przewodnią. I my wszyscy widzimy, że lo-

naszego otłoptania — będzie stokroć lepszym od losu jego ojca, gdyż ~~patrzy~~ spogląda na życie trzeźwo, bez egzaltacji tamtego biedaka.
Czego on nam nie opowiadał ten Wiktor?
Doskonała była anegdota, której sam był bohaterem na współkę z pewną przekupką jaj. Pewnego pięknego poranku, szedł mój wesoły kuzynek przez jedną z ludniejszych ulic Rygi, nagle poślizgnął się, upadł i pociągnął z sobą, idącą naprzeciw niego, ~~prz~~ z pełnemi koszami jaj straganiarkę. Pocieszna była mina winowajcy, gdy wstając, ujrzał się od stóp do głów oblanym jajami, a w dodatku został zagłuszony lamentami i przekleństwami poszkodowanej. Przygoda stała się jeszcze drażliwszą, gdy sięgnąwszy do kieszeni, przekonał się, że portmonetki nie wziął z sobą, musiał więc przez część miasta iść ożółcony, ścigany krzykiem i groźbami straganiarki. —

Dobrze nam wszystkim razem i Wiktorowi nie smutno, bo ma tu wokoło kochające serca, które lękwie, że myśli jego nie zgadują. Nie mówią już o Dziadusiu i sobie, boć to przecie jedyna nasza pociecha, ale oboje Ambrożowie kochają go jak własne dziecko. Ciocia Aneta o nim tylko myśli przy wydawaniu rozporządzeń kuchennych, a pan Ambroży nie odmówi mu nigdy koni, choćby była w polu najpilniejsza robota. Mnie i Dziadusia ten zaszczyt nie zawsze spotyka. Bywa, że gdy się w czasie żniw lub młócby Dziadzio pokornie prosi się o konia i posłańca na pocztę widzi się zadąsaną minę i słyszy następujące słowa: „Ja u Pana Dobrodzieja nie po to jestem, żeby próżnować, a jeśli ja nie próżnuję i inni pracować powinni. Pojedzie, Panie Dobrodzieju, chłopak na pocztę i sam nic nie zrobi, i konia zmęczy, a tu, panie Dobrodzieju, snopy nie zwiezione, maszyna potrzebuje

robotnika." — A dla Wiktora i w najgorętszy czas znajdzie się wolny koń folwarczny i fornal, bo i nie jeden, a ilu tylko zażąda. — Używał więc wakacyj nasz ulubieniec, teraz już i ostatnie przeszły, bo kursa swe skończył, pisze ~~już~~ dyssertację, poczem dostanie dyplom, tytuł inżyniera i weźmie się do pracy fachowej. Dziedzic marzy o założeniu fabryki cukrowej w Glinkach dla niego, gdyż tu na Ukrainie, jak powiada, te zakłady przemysłowe mogą mieć największe ~~znaczenie~~ powodzenie, Wiktor zaś uważa, że lepiej byłoby wziąć się do innej, niewyzyskanej dotąd gałęzi przemysłu i układa plany plantacyj lnu, konopi i warsztatów tkackich. Ma swój rozumek ten wielki dzieciak. Bierze się do zawodu swego z zamiłowaniem i znajomością wytrawnego fabrykanta. Tymczasem zaś, korzystając z przywilejów studenta na wakacjach, używa

swobody i rozwesela ponury zwykle dwór w Glinkowie. Zaproponował nam wycieczkę do Kijowa, czekamy tylko przyjazdu Karusi i Zosi z Warszawy, by ją w czyn wprowadzić.
Co do mnie, lubię te przejażdżki kilkudniowe, w czasie których myśl odrywa się od zwykłych, codziennych zdarzeń, ciągle zajęta czemś innem, nowemi twarzami, nową miejscowością, wreszcie choćby gwarem i ruchem ulicy. I ja zapomnę na chwilę, że jestem bezcelową na świecie istotą i nie będę zazdrościła Wiktorowi jego pracy w przyszłości; ciotce Annie jej dwóch córek, a tylu innym ludziom określonego dążenia w życiu, przekonania wewnętrznego, że są czemś w tej dużej machinie społecznej, której ja jestem bezużytecznem kółkiem, zawalidrogą tylko!

12 Grudnia. O nigdy, nigdy nie zapomnę dnia dzisiejszego! Boże mój, Boże, czemu ja taka niedołężna, bezsilna jestem, czemu ni trochę pomódz nie mogę temu biednemu, jęczącemu Chrystanowi, czemu pocieszyć czynem nie mogę jego matki nieszczęśliwej! Smutny, okropny wypadek! Na chwilę mi z przed oczu nie schodzi obraz biednego dziecka z połamanemi członkami, z rozdzierającem serce spojrzeniem. Przyniesiono go do nas na noszach z lamentem okropnym i każdy zaczął opowiadać o przyczynach wypadku, a biedne dziecko oczami tylko błagało o przyniesienie mu ulgi w bólu. Każdemu z nas, mieszkańców dworu, przyszła na myśl nieudolność nasza i dziadunio natychmiast posłał po lekarza do Lipowca, ale miasteczko o dwie mile, droga zła, może więc pomoc przybyć za pięć, sześć godzin zaledwie, a tymczasem kto ulży cierpię-

niom tego biedaka? Czemu ja nie mam pojęcia o medycynie, o iżbym później mogła mu dać pomoc jakąkolwiek. Kładzę mu lód do chorej ręki i nogi, to go zabezpieczy od ~~obrz~~ zakrzęknięć.

A biedna matka jego, jakie bolesne ma wrażenie! Rozpacz jej jest wielka, gdy pomyśli, że ten ~~jej~~ ~~syn~~ dwunastoletni chłopak był jej jedyną pociechą i podporą, bo cóż ona, zreumatyzmowana wdowa pocznie bez niego, lub jak sobie poradzi z kaleką, gdyż jeśli życie mu ocaleją, ciężkie, nieuchronne kalectwo go czeka. Ja jej pocieszać nie mogę, gdyż cóż jej powiem nad to, co ona sama widzi i czuje.

Opisać nie potrafię, co w tej krótkiej chwili przebyłam i jaki żal mię ogarnął ku sobie samej, że nic, ale to nic tym biedakom użyć nie mogę. Już pomijam pomoc materjalną, której Dziadzio im nie odmówi, ale gdybym była w stanie dać

jaki środek synowi, któryby cierpienia jego zmniejszył, a matkę, gdybym zapewnić mogła, że nie będzie to straszne, nieuleczalne kalectwo. Ale ja nic, nic nie wiem i stoję przed nimi jak oszołomiona, nie znajdując wyrazu na pocieszenie.

Pan Ambroży opowiedział nam jak zaszedł ten wypadek. Chrystan zawiesił swój woreczek ze śniadaniem nad ~~maszyn~~ młócarnię konną, a chcąc go zdjąć, pochylił się nieostrożnie i wpadł między koła, które były już wtedy w ruch puszczone. Naturalnie, zatrzymano maszynę, jak można najprędzej, ale to nie uratowało biednego chłopca, któremu koło zgruchotało prawą rękę i nogę.

Jest doktor nareszcie! Obejrzał chorego i powiada, że umiejętne złożenie części kości i natychmiastowe ogipsowanie, może mu zapewnić uzdrowienie ręki, gdyż noga mu-

być amputowana do kolana.
Smutne to, jednak lepsze od tego, czegośmy się wszyscy spodziewali.
Już biedak nie jęczy tak okropnie i matka jego, choć smutna, nie oddaje się tak bezbrzeżnej rozpaczy.
Doktór radzi, by chłopca dostawić do jego szpitala w Lipowcu, gdzie będzie umiejętniej pielęgnowany niż u nas, gdyż choroba jego wymaga troskliwej i przedewszystkiem umiejętnej pieczołowitości. Prawdopodobnie na tem się skończy, gdyż choć troskliwą opiekę znalazłby i u nas, ale wszakże my tak o chirurgji nic nie wiemy, że mu pod tym względem pomocy zapewnić nie będziemy mogli. I znowu pytam siebie, czemu ja takim nieukiem, niezdarą jestem, że i tu przydać się nie mogę? Czemu choć elementarnych pojęć o medycynie nie mam?
Sprowadzę sobie dzieła popularne, by ~~choć~~ trochę posiąść tych wiadomości.

Co prawda, każda z nas mieszkanek wziera swoją apteczkę i w niej pierwsze środki ratunkowe, któremi zręcznie nawet posługiwać się potrafi; i u nas ciocia Aneta ma swe askane domowe, ale przecież w tym wypadku żadna z nas nie wiedziała co czynić. Ciocia Aneta zresztą ma na głowie całą gospodarkę, którą z nieporównaną umiejętnością prowadzi, ma męża i córki, Dziudzia i mnie nakoniec, o których myśleć musi, a ja? ja nic do roboty nie mam, – dziś jeszcze napiszę, by mi wysłano katalog dzieł medycznych popularnych i zabiorę się do ich studjowania.

13 Grudnia. Dziś w nocy śnieg upadł, droga się poprawiła, a więc zaraz jednego posłany Chrystan do Lipowca; te same konie odwiozą mój list do Gebetnera i Wolffa na poczty. Ciocia wyjechała na spotkanie swych panienek, które już wczoraj telegrafowały o wyjeździe z Warszawy. Bardzo kochane

te moje dobre, młodziutkie kuzyneczki.
Dziwna rzecz, jak ja lubię pogodne, uśmiechnięte twarze, jak cenię żywe, ruchliwe natury, kiedy ja sama jestem poważna, zamknięta w sobie i mało udzielająca się światowi zewnętrznemu. O Karusi nie mogę, co prawda, powiedzieć, by była żywa; należy ona do tych natur ~~pogodnych~~ szczęśliwych, którym świat cały wydaje się drogą świetlaną, po której stąpają same ideały, same doskonałości.
Ma lat siedemnaście, jest ładną, o regularnych rysach blondynką, i wieje od niej taki urok młodości i pogody, że mu się oprzeć trudno. Ostatni to jej rok pobytu na pensji, wśród koleżanek, które kocha bardzo i nauczycielek, które są w niej wszystkie skończonemi ideałami.
Zresztą ideałem Karusi zostać łatwo i ja również ideałem mądrości jestem, dzięki kilku poważniejszym książkom, które widziała kiedyś na moim stoliku.
I główkę ma dobrze opatrzoną to dziewczątko,

przekonałam się o tem za pośrednictwem pa-
nu owych tomów, gdyż zastałam ję czytającą
jakąś Psychologję Uwagi Ribot'a z takiem
zajęciem, jak gdyby to była najwięcej zabronio-
na powieść dla pensjonarki. Zarumieniła się,
gdy weszłam na tę ukradkową lekturę, a
podnosząc swoje śliczne, habrowe oczy rzekła:
„Moja Ludko, wszak nic złego nie czynię, czy-
tając twoje książki; mnie tak zajęła myśl,
że wszystko co mi się przez głowę przesuwa
jest logicznym wynikiem dawnych faktów
i myśli," i zaczęła mi opowiadać swoje wy-
obrażenia o kojarzeniu się pojęć. Dałam jej
popularną psychologję Clark Murray'a, któ-
rego ona z prawdziwą przyjemnością czytała
mimo to, że miała wtedy przed sobą inne,
więcej do jej wieku zastosowane książki.
Zajmuje ją również bardzo literatura piękna.
Dante i Tasso są jej dobrze znane, a czytanie
pieśni Nibelungów stanowi dla niej jedyną
rozrywkę.

A przytem z jaką macierzyńską czułością opiekuje się dwunastoletnią Zosią, która wskutek swojej żywości ciągłej opieki potrzebuje, z jaką miłością pełni polecenia matki, jak stara się jej dogodzić, pomagając w zajęciach codziennych. Dom się rozweselił dzięki naszej młodej parze, gdyż zwykli domownicy tj: dziadzio, państwo Ambrożowie i ja nie odznaczamy się zbyt wesołem usposobieniem. Nieraz zapytuję siebie, czemu i ja nie mam tego złotego humoru młodości, który tak bardzo w innych cenię i który jest takim przyjemnym dla wszystkich otaczających. Wynika to może z warunków, wśród których wzrosłam. Od dzieciństwa chowana bez matki, pozbawiona jej troskliwych starań, ciepła jej serca, pozostawałam jedynie w towarzystwie ludzi wiekowych, ~~[illegible]~~ znękanych życiem, jakimi byli mój dziadek i ś. p. Babka.

Nawet nauczycielka moja, choć młodsza od nich wiekiem i dobra, poczciwa osoba, nie

mogłaby, wraz ze swemi nostalgjami i reumatyzmami, odpowiedniem towarzystwem dla dziewczynki, już z natury obdarzonej umysłem za poważnym i nad wiek głębokim.
Na pensję oddano mnie na lat kilka.
Uczyłam się z łatwością, czytałam wszystko, co mi w ręką drogą kontrabandy wpadło, ale z koleżankami byłam na stopie dość obojętnej, gdyż wzajemnie nie mogłyśmy się zrozumieć.
One, prawie wszystkie, myślały jedynie o tem, by mundurki jaknajprędzej w zakładzie zostawić, a dostać się na swobodę do domu.
Młodsze marzyły o sukniach, często o przysmakach, starsze o zabawach, młodzieży spotykanej. Dla mnie jednej wśród nich był obojętnym pobyt w Warszawie lub Chinkach bo tu i tam nie przychodziły mi szybko do głowy ani zabawy żadne, a wolałam się zagłębiać w książkach, nie pytając o ich wpływ na mnie i wartość.
Wprawdzie twój część mojej lektury stanowiły romanse i powieści, którym tak dalece nie

rzucałam, że potem w każdym i każdej upatrywałam styczność z ich bohaterami i heroinami; lecz bywały i książki poważniejsze, których treść, albo przenikała odrazu do młodego mego umysłu, lub machinicznie zostawała mi w pamięci i z czasem dopiero przypominała mi się, jako gdzieś dawniej zasłyszane teorje i zdania. Pamiętam, że mając lat czternaście, czytałam Emila J. J. Rousseau, książkę, która mnie już wtedy zajęła i dostarczyła wątku do rozmyślań nad systemem wychowania, stosowanym do mnie i do moich koleżanek.
Później miałam sposobność czytania dzieł: Voltaire'a, Smiles'a, Lewes'a, Quatrefages'a wszystko to przeplatane Balzakiem, Kraszewskim, Ouidą lub Wiktorem Hugo i arcydziełami naszej poezji.
Gdybym miała córkę, stanowczo nie pozwoliłabym jej czytać prawie wszystkiego tego w wieku, jaki ja miałam czytając, i nie dopuściłabym nigdy do ukradkowej lektury,

która pomijając to, że zwraca umysł młodo-
ciany na niewłaściwe nieraz dla niego odr. tory,
ale ma i tę szczególność, że wyradza niewiarę,
nieufność i pewną nawet niechęć ku tym, którzy
tak starannie skrywają przed swymi wychowa-
wcami całe światy uczuć, zjawisk, myśli; im
jednak dobrze znanych.
Dziecko nie rozumuje, że czynią to dla jego
dobra, ale odczuwa jakoby krzywdę swoją,
którą teraz chce powetować i rozkoszuje się,
mały winowajca, tym moralnym figlem, jaki
płata swoim pedagogom, dowiadując się bez ich
wiedzy i woli o tem wszystkiem, co jemu
te książki, gdzieś w kącie czytane, opowiadają.
Dzieci, które tak jak ja, chwytają wszy-
stkie książki, by z ich treścią się zapoznać,
wytwarzają w sobie tak szczególne kombina-
cyj zdań, sądów, twierdzeń, tak sprzeczne
spotykają nieraz myśli i wywody, że po[illegible]-
toną w tym labiryncie i dopiero po ~~jakimś~~ pewnym
czasie, chwytają się jakiejś nici Arjandy,

która ma ich na słoneczny świat wyprowadzić. Ileż to jednak razy nić ta wieść może na błędne drogi!

To są przyczyny, któreby mnie skłoniły do gorliwego czuwania nad mojemi dziećmi, by książek nie czytały niestosownych dla ich wieku, i nie czyniły tego w tajemnicy przedemną, mimo to zaś czuję, że przekroczenia, których się ja względem moich kierowników dopuszczałam, nie miały na mnie zgubnego wpływu, a współdziałały raczej rozwinięciu się mojej inteligencji i wytworzeniu tego charakteru skrytego, zamkniętego w sobie, który obojętnie na pozór odnoszący się do zjawisk zewnętrznych, bierze jednak życie pod mikroskop i bawi się jego analizą.

Dziś tych moich pierwszych autorów czytam z uwagą wielką i doznaję wrażenia, jakgdyby żywem do mnie przemawiali słowem, powtarzając tylko to, co mi niegdyś już mówili, gdy ja jeszcze nie zupełnie dobrze ich pojmowałam.

li moi pierwsi nauczyciele, wprowadzili wiele poważnych myśli do mej dziecinnej mózgownicy, wszczepili nawet idee humanitarne i oni to sprawili, że zabawy i uciechy moich rówieśniczek nie bawiły mię wcale, a na ich poglądy patrzyłam z punktu pewnej mej wyższości umysłowej, byłam „starem dzieckiem”, jak mnie nazywano.
To było złe, nie przeczę i wytwarzało nadto we mnie uczucie, że niezrozumiana przez innych jestem, i napełniało goryczą żalem moje serce, bo ono czuło, że uczuciami przepełniającemi je podzielić się z kimś musi.
— Jedyne jasne chwile mego dzieciństwa były wakacje, w czasie których Wiktor przyjeżdżał ze szkół, gdyż towarzystwo jego uczyniało mię bardzo i z nim mogłam się dzielić memi ~~dziecinnemi~~ pojęciami o Indiach i świecie, zaczerpniętemi gdzieś u jakichś nauczycieli lub z powieści pisarzy.
Przyjazd Państwa Ambrożów do Olszynki

również wpłynęło na mnie dodatnio; poczułam bowiem, że kocha mnie bardzo ciocia Aneta, a jéj dwie córeczki były dla mnie żywemi lalkami.

I ja również pokochałam szczerze ciocię Anetę. Poczciwa to i zacna kobiéta, posiadająca zdrowy rozum, trafny sąd i szlachetne serce.

To samo da się powiedzieć i o jéj mężu panu Ambrożym. Pod szorstką nieraz powłoką, kryje on gorące serce, pełne uczucia ~~serca~~ i wyrozumiałości.

A jak oni oboje tak kochają swoje córki, jak starają się je wychowywać na zacne, prawe kobiéty!

A jednak ja, żyjąca wśród tego otoczenia, przepełnionego jedynie dodatniemi stronami serca i umysłu, nie czuję się zupełnie szczęśliwą. Może to jest źle z mojej strony, może to egoizm we mnie przemawia, może kto inny, w mojem znajdujący się położeniu, uważałby się za wybrańca losu, a ja, ja nad nim biadam

i myślę ciągle, że mi inne życie rozpocząć należy, życie, któreby miało cel wyraźnie zarysowany przed sobą. Bo, czyż ja teraz mam cel jaki, ba, choćby pracę użyteczną? Do gospodarki kobiecej zabrać się nie mogę, choćby z tego względu że jej nie mam, a tu w Pniewkowie, jest ciocia Aneta, która umiejętniej i wprawniej ją odemnie prowadzi.
Według mnie, każda kobieta powinna znać gospodarkę domową, ale z drugiej znowu strony jest to rzecz tak łatwa, że parę lat praktyki najzupełniej wystarczy do gruntownego jej zgłębienia, więc po za nią jest czasu wiele, wiele, chodzi tylko o to jak go zużytkować. Żona, matka, wreszcie gospodyni domu — ma liczne i ciągłe sprawy, które jej długie godziny pochłaniają, ale takie jak ja, cóż im pozostaje?
Prawda, są teraz modne rzemiosła, do których setki kobiet się garnie, czynią to one jednak więcej dla zarobku, niż dla

zużytkowania naośmiarz czasu. Dla mnie zarobek jest rzeczą obojętną, gdyż to co mam, przy moich skromnych wymaganiach, jest dostatecznem.
Pozostają pedagogja i filantropja.
Co do tej ostatniej, stosuję dwuwiersz wieszcza z Czarnolasu:
Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży,
A całość - sama się złoży.
Do nauczania szczególnego zamiłowania nie mam. Rozumiem doskonale, że zawód nauczycielki i kierowniczki młodych umysłów, daje duże pole do pracy i czynu, które mówiąc nawiasem, często odłogiem leży. Ja nie czuję w sobie sił potrzebnych do dźwigania ciężkiej odpowiedzialności wychowywania cudzych dzieci. Zresztą zastęp nauczycielek jest u nas tak liczny że go nie chcę swoją osobą powiększać.
Ale, czyż pozatem nie znajdzie się droga, po której dziewczyna zdolna, ze średniem wykształceniem i dobremi chęciami, pójść by

mogła, znaleść zajęcie pożyteczne, któreby
jéj i innym korzyść przyniosło?
Takiém jest na przykład medycyna.
Dawno, dawno myśl ta w głowie méj kiełko-
wać zaczęła, ona to skłoniła mię do zdawania
egzaminu rządowego, ona kazała mi sprowa-
dzić kilka gramatyk łacińskich, a jednak po-
tem umilknąć musiała, gdyż widziałam na prze-
szkodzie stojące słowa Dziadunia o przezna-
czeniu kobiéty, która na to jest stworzona,
by wyjść za mąż, poczém zaś cel jéj życia
sam jasno się przedstawia.
Często okoliczności zwracały mię do pierwo-
tnéj méj myśli, a ostatnie ~~mi~~ czasy smutny wy-
padek z Chrystanem przypomniał mi ją
bardzo żywo i nasunął pytanie: czy mia-
łabym prawo i słuszność targnąć się na zasady
Dziadunia? Czy nie mając sposobności
wyjścia za mąż tak, bym szczęście tego po-
życia przed sobą widziała — nie powin-
nam pójść drogą inną, jąć się pracy, któ-

raby mi nie tylko pustkę w życiu zapełniła, ale stałaby się narzędziem w mojem ręku, którem wiele dobrego zdziałaćbym mogła. Toć nie jeden jest Chrystus na świecie, podobnych jemu biedaków znajdzie się tysiące, gdzie okiem tylko rzucić, a czyż ja, także zajmująca stanowisko wśród ludzi, jakie dziś zajmuję – pomódz im mogę w człowieka. A z nauką, której przeznaczeniem jest łagodzić i gdzie ból fizyczny, ileżbym uczynić mogła, choćby u nas na wsi? Tu tyfusy, febry – tyle ofiar rocznie pochłaniają, które giną, giną marnie, gdyż im rady i opieki brakuje i giną z tem gorzkiem przekonaniem, że to samo czeka ich dzieci, ich wnuki.....

I gdy pomyślę, że ja, ja nieznaczący dotąd członek społeczeństwa, mogłabym przyczynić się do ocalenia choćby kilku istot, bylebym tylko wiedzę posiadała – coś mi szepce i woła: idź, idź, choćby przebojem, choćby wbrew woli innych, po drodze prze-

szkodami usłanej, bo ona do celu prowadzi, a cel w życiu to szczęście twoje.

Idź?, a Dziaduś?, a świat?

Świat, mniejsza o niego; bliższe kółko moich znajomych zadziwi się trochę, może oburzy, może pochwali, kilka młodych dziewcząt pozazdrości mi odwagi —, a zresztą, większość nowinę tę przyjmie obojętnie, bo czyż co kogo obchodzi, czy Ludwika Żgorzelska siedzi w Glink~~ach~~owie, jako panna na wydaniu, czy studjuje ~~gdzieś~~ medycynę gdzie w Genewie lub Paryżu.

Lecz Dziaduś?, Jak nakłonić go do moich przekonań, jak zrobić, by mi na ten krok pozwolił sam, dobrowolnie, gdyż wywalczenie sobie gwałtownemi środkami jego aprobacji, byłoby dla mnie smutnem zwycięstwem.

Tak, walką tym napewno wszystko wskóram, ale czyż jabym miała serce walczyć z tą srebrną głową, z tym jedynym moim pozyją-

cielem i opiekunem na świecie, z tym starcem, który jest dla mnie uosobieniem tradycyj i pamiątek czasów lepszych, minionych!

O nie, Dziadusiu mój złoty, do walki z tobą nie stanę, choćbym w niej świetne zwycięstwo odniosła.

Niech inni walczą, by nowe drogi świata otwierać, ja nie mogę, nie mogę połączyć się z nimi, przeciw tym, którzy dniem wczorajszym żyjąc w nim tylko ideały swe widzą i nie chcą nowych, lepszych może, lecz nie otoczonych aureolą przeszłości bezpowrotnej.

Jakie to smutne: walka pokoleń!

Jedni bronią starej, często bezużytecznej chorągwi, gdyż z nią są związane pamiątki ich chwil najlepszych, — drudzy pragną tę chorągiew odebrać, by z drzewca zerwać stare, wyblakłe płótno i nowem barwniejszem je zastąpić. Nie myślą jednak ci drudzy, że z czasem i ich sztandar spłowieje

i inne, świeże siły wydzierać go im będą, by zacząć tę samę walkę! —

26 Lutego. Byliśmy nareszcie w Kijowie. Przed świętami nieprzewidziane przeszkody zatrzymywały nas w domu, potem niezdrowie Karusi, która wskutek bledniczy musiała pozostać w Glinkowie, a Zosia sama wróciła na pensję. Żal było Karusi koleżanek, naturalnie, gdyż będąc t. zw. pensjonarką, miewa ich kilka, lecz cóż robić, doktor B. zawyrokował, że jeśli chce sił nabrać i pozbyć się częstych zawrotów głowy, powinna wziąć rozbrat z książkami na czas jakiś, pozostać na wsi, używając przechadzek, świeżego powietrza i trochę rozrywek. To nas skłoniło do wyjazdu na kontrakty do Kijowa.

Nigdy w tym czasie nie byłam w Kijowie i prawdziwą przyjemność sprawiało mi podziwianie różnych scen i obrazków rodzajowych, widzianych w mieście jedynie w czasie t. zw. kontraktów.

Hotele wszystkie są przepełnione gośćmi ze wsi, ulice zalegają tłumy opalonych, o sumiastym wąsie obywateli i dzierżawców, między nimi snujący się oficjaliści i dzieci Izraela, tych ostatnich moc wielka.

Wszędzie gwar, ciżba...

Wszędzie wre życie gorączkowe, gdyż wielu z tych gości – raz tylko do roku odwiedza Kijów, musi więc go użyć należycie, zwiedzić sklepy, restauracje, odwiedzić znajomych, których się na każdym kroku spotyka, a co rwetesu przy każdym interesie których ma się dużo do załatwienia, co sprzeczek i targów z żydami, bez których żadna sprawa obejść się nie może.

I płeć piękna ma tu liczne przedstawicielki z prowincji; jedne z nich, dobrze z miastem obyte, towarzyszą swym mężom i ojcom, by się w Kijowie wśród znajomych rozerwać, być parę razy w teatrze, przejrzeć magazyny nowości modnych: Bela lub Bon gout. Inne przyj=

chały po sprawunki domowe, których zwykle do-
starczają im powiatowe miasteczka, — teraz zaś z
wielkich składów mają wywieść olbrzymie zapasy
kolonjalnych towarów, płócien, perkalów, naczyń
kuchennych itp.
A sala kontraktowa? To ci to nieprzebrana
skarbnica przyjemności i towarów dla naszych
pań ze wsi, które jadą na Podól z pełnemi
kieszkami, a wracają stamtąd obładowane
różnemi wyrobami kaukazkiemi, tureckiemi,
perskiemi, i Bóg raczy wiedzieć jakiemi,
najczęściej jednak fabrykacji berdyczowskiej,
jak mnie złośliwi zapewniali.
Niezmiernie nas też cały gwar kontraktowy
zajmował; chodziłyśmy z panną Dulską po
mieście, spotykając mnóstwo znajomych,
lub robiąc sprawunki, których zawsze trochę
mają wieśniaczki do zrobienia, resztę czasu
spędzałyśmy u pp. Dulskich, którzy nie po-
zwolili nam zamieszkać w hotelu, a ulokowali nas u siebie. Wieczorów parę mdłi-

liśmy się w szybkim tłumoku, by od tradycyi kontraktów nie odstąpić.
Wiktor z panem Ambrożym sprzedawali na-młóconą pszenicę, pisali umowę na buraki, a wolne chwile Wiktor nam na usługi poświęcał.
Znał dobrze miasto, pokazywał więc jego osobli-wości; byliśmy w Ławrze Pieczarskiéj, na Włodzimierzu tj: na górze, na któréj się wzno-si pomnik Włodzimiérza W., używaliśmy szlichta-dy po Dnieprze. Wiktor, pełen humoru, jak zwykle, zadziwił mnie jednak swoją ciągłą troskliwością o nas, o nasze przyjemności, o do-bne wygody, których dostarczał nam z dziwną zna-jomością upodobań i przyzwyczajeń naszych.
Cioci i Marysi towarzyszył do kościoła, sanki im najlepsze wybiérał, całemi godzinami przy-patrywał się wystawionym w sklepach towarom, towarzysząc nam w robieniu sprawunków, a wszystko to zdawało się go żywo zajmować, chociaż jego wesołe, ruchliwe usposobienie, nie nadaje się tak bardzo do szczęty damom.

przybyłym ze wsi.

Patrzyłam na to i dziwna myśl przyszła mi do głowy: czy to nie habrowe oczy Karusi trzymają go tak ciągle przy nas? Czyż by ten wielki dzieciak, jak go nazywam, uczuł w sobie coś więcej nad proste przywiązanie do kuzynki? A Karusia? Zaczęłam ją śledzić i doszłam, że częsty rumieniec na widok Wiktora, uśmiech jej radośny, i tyle, tyle niedostrzegalnych prawie objawów jakiejś zmiany wewnętrznej, – świadczą, że moja pieszczoszka oprócz idealnych nauczycielek i koleżanek – poznała i inny ideał. Prawda, wszak to już ludzie dorośli oboje, młodzi, piękni, dobrzy, parę miesięcy spędzili pod wspólnym dachem, poznali się i pokochali. Ja to już miłością nazywam, oni, być może, jeszcze sobie sprawy nie zdają z tego, co się w ich sercach dzieje, ale wkrótce poczną uczucia swoje rozbierać i dojdą pewnie do przekonania, że żyćby bez siebie nie mogli.

Daj Boże, by ich losy połączyły, stanie w szeregach para szczęśliwa, a tych tak niewiele.....
I dlaczegożby się połączyć nie mieli? przeszkód żadnych być nie może, oprócz dość bliskiego pokrewieństwa, na które jednak są dyspense.
A zatem kochajcie się i bądźcie szczęśliwi!!
Miłość! Dziwne dla mnie słowo.
Jestem kobietą, mam lat dwadzieścia pięć, nie powinno mi już być obcem, a jednak nigdy, nigdy się ono do serca mego nie wkradło, nigdy nie uczułam gorętszego uczucia, nie powiedziałam: kocham, nikomu na świecie.
Czemu? Gra w tem rolę trochę próżności czy miłości własnej i to głównie, że choć wiele o miłości czytałam i słyszałam, nie uczułam jej nigdy, gdyż przedmiotu nie znajdowałam.
Od lat dziecinnych obawiałam się niezmiernie śmieszności, wolałam znieść połajania, karę, gniew — byleby na ~~sm~~ śmiech się nie narazić.
Ta wada czy zaleta pozostała mi do dnia dzisiejszego, i ona to każe mi często myśleć, że ja

brzydka, powinnam się zupełnie inaczej za-
chowywać niż te, które są urodą obdarzone.
Wiele się wybacza pięknym oczom, świeżemu
buziaczkowi, zalotnym wejrzeniom, lecz ja, ja
brzydka powinnam dobrze uważać, by moje
słowa, ruchy, odpowiedzi nie były za dwuznaczne
poczytane i potem wyśmiane jako niewłaściwe mo-
jej powierzchowności. Dlatego jestem tak ostroż-
-ną w towarzystwach, że zarobić sobie musiałam
na opinię zupełnie correct panny. Tego mi chyba
nikt nie odmówi. Przyznano mi nazwę osoby
z taktem i to mię zabezpiecza od śmieszności, któ-
rej się tak bardzo boję. Ta moja zasada każe
mi patrzeć na młodzież nie jako na kandydatów
na mężów dla mnie, ale jako na towarzystwo, wśród
którego szukam rozrywki umysłowej w rozmowie,
lub badam przyszłość, ku której ona dąży.
Wszak takie zapatrywanie nie może wpłynąć bardzo
na rozwinięcie się miłości, a dodam, że jest ku temu
i inna ~~przyczyna~~ przeszkoda, ta mianowicie, że nie
spotkałam jeszcze nikogo, komubym mogła powie-

dzieć: Kocham i szanuję. Dajmy na to, że pokocha-
łabym w panu Leonie jego piękność, boć podobno
w miłości i piękność fizyczna gra wielką rolę, czyż
mogłabym go szanować i za cóż? chyba za jego kła-
nianie z pieców i figury mazurowe, to wszak
ten człowiek jedynie dla tej siły swego ducha
wytęża.
A inni? Pan Kasper, X. Z.?
Jeden to papka, która powtarza bezmyślnie
gdzieś zasłyszane ~~frazesy~~ teorje, drugi groszorób,
który widzi ideał w pełnej kieszeni, trzeci do-
bry, zacny chłopak, zwany zwykle poczciwcem,
ale intelektualna jego strona pozostawia tyle,
tyle do życzenia. Śmieszne to może, ale, gdy
ujrzałam jego ortografję w krótkim liście do
Dziadzia pisanym, przyszło mi na myśl,
że gdyby mój wybrany podobną posiadał – ~~orto-~~
~~grafjąm się~~ – spadłby nisko ze swego piede-
stału. Dziwaczka jestem, inne się nie obejmą
nawet, że ich mąż lub narzeczony piszą:
„mój przyjaciel" – ja nie[illegible]abym się zako-

chać w człowieku, któryby stał umysłowo wyżej
odemnie. Ukochanego musiałabym kochać i sza-
nować. ~~Oprócz~~
Oprócz tych znanych mi typów, są przecież
i inni ludzie na świecie, ale ja świat znam tak
mało, a wśród znajomych moich tak nieliczny wybór.
Są między nimi tacy, których szanuję za rozum
i poważne na świat poglądy, są inni, których
lubię za dobre serce i poczciwość, ale takiego, któ-
regobym pokochać mogła niema między nimi.
O, gdyby to moje zdanie usłyszał ktokolwiek,
wziąłby mnie może za osobę ~~za wysoko~~ mającą za wy-
soko wygórowane pojęcie o swej wartości i mógł-
by powiedzieć: wymagasz wiele a cóż dajesz w za-
mian? Tak, wiem o tem, gdy dużo żądam,
dużo i dawać powinnam, a że ja oprócz
gorącego serca i średniego wykształcenia – nic we-
dług dać nie mogę, przeto oddawna wyrzekłam się
myśli o miłości i małżeństwie; umrę starą pan-
ną. Jedynem mojem pragnieniem jest, tę re-
sztę życia, która mi pozostała, spędzić tak,

bym mogła sobie powiedzieć: byłam czemś, nie daremnie zajmowałam w społeczeństwie miejsce jego członka, żyłam nie tylko dla siebie. To jest moje marzenie, ale kiedyż je w czyn wprowadzę?

Zaczęłam o Karusi, Wiktorze, a skończyłam na swoim ulubionym koniku, a oni tymczasem siedzą w małym salonie i używają przyjemnego sam na sam, korzystając z poobiedniej drzemki starszych. Ciekawam, czy zauważyła ciocia Aneta ich wzajemne zajęcie się sobą? Chyba nie, gdyż inaczej widzieć by się to po niej dało! — Dziwelnie wprawdzie, wspominał parę razy o spóźnionym wyjeździe Wiktora do Rygi, lecz chłopak usprawiedliwił je ręcznie oczekiwaniem na kupców, którzy mają z nim zrobić kontrakt na sprzedaż lasu. —

4 Marca. Nie, stanowczo, muszę się z dzi-dusiem rozmówić. Tak mi źle, tak bardzo roz-spaczona się czuję, gdy pomyślę, że dalej tak wegetować będę. Boże mój! ja młoda, zdrowa, czująca, że duże obowiązki powinny by na mnie spoczywać — drżę na myśl tej bezczynności, której się oddaję, a która mnie wprost zabija mo-ralnie.

Dajcie mi pracę, taką, coby cel miała przed sobą, nie te bezmyślne, filisterskie życie, jakie ja pędzę. Pracy się nie zlęknę, owszem szukam, pragnę czynów, któreby wartość miały jakąkolwiek, czynów, do spełnienia których czuję w sobie siłę i odwagę.

Gdybym tu w Glink~~ach~~owie znalazła sobie zajęcie, mające cel przed sobą, o jakże by-łabym szczęśliwa!! Marzyłam ja kiedyś o założeniu szkółki, ochronki, ~~ale~~ wszystko marzenia pensjonarskie, ale to jest połą-czone z takiemi trudnościami, że staje ~~się~~ prawie niepodobnem do wykonania.

Dom cały najmniejszy z mojej strony nie potrzebuje pomocy, wszystkim dobrze, wygodnie pod troskliwą cioci Anety opieką, o gospodarce męzkiej nawet nie mówię, gdyż pana Ambrożego nikt zastąpić nie zdoła. Tyle razy roztrząsałam tę kwestję i medycyna wydaje mi się najodpowiedniejszą. Lubię przyrodę i chcę pracy, któraby mnie i innym korzyści dawała.
Ach, gdybyż Dziaduś zechciał z memi poglądami się zgodzić! Dziś mu jeszcze powiem, co czuję, on mnie chyba zrozumie i pomoże do wstąpienia na drogę dla mnie przeznaczoną.
Sprowadziłam ~~sobie~~ przed miesiącem książki traktujące o leczeniu domowém, ale widzę, że to tylko zabawka, dowiedziałam się z nich bardzo mało, i tylko wzrosła moja chęć dowiedzenia się o wiele więcej.
I dlaczegożbym dokazać tego nie mogła, dlaczegożbym za lat sześć, siedm nie mogła zostać doktorem medycyny?

A gdy pomyślę, że w oczach ludzi uchodzę za zwykłą, bezczynną gąskę, mającą za jedyny cel w życiu wydać się im jaknajlepszéj, by tym sposobem wyjść za mąż, zrobić „dobrą partję", takie mnie lekceważenie ku saméj sobie ogarnia, taka rozpacz straszna, że postanawiam łamać wszelkie przeszkody, by powiedzieć sobie kiedyś: nie jestem niedołężną lalką, manekinem, mam swoją wartość, któréj probierzem złożą się moje czyny, moja praca.

Teraz więcéj niż kiedykolwiek gnębią mnie smutne myśli, Wiktor wyjechał, cały dom odczuwa brak jego towarzystwa, figlów, wesołości. Karusia biedactwo kryje się ze swoim smutkiem, ale przedemną skryć go nie zdoła, ja tak dobrze wiem, co się w jéj serduszku dzieje. Ale rozumiem tylko, czemu otwarcie nie powiedzieli sobie o swem wzajemnem uczuciu, dostaliby błogosławieństwo Dziadusia, państwa Ambro-

łów i łatwiej by im było rozstać się na tych kilka miesięcy.
A tak, Wiktorowi nie wesoło pewnie w Rydze, a tu moje dziewczątko łzy ukradkiem ociera, ja jedna je widzę i żal mi jej, żal bardzo.
5 Marca. O Dziadusiu mój drogi, gdybyś mógł odczuć co się w mem sercu dzieło, gdyś ty mię ze szczytu marzeń mych zbijał, pewniebyś zdanie swe zmienił, możebyś nawet dodał parę słów zachęty tej Dudce, w sercu której dziwne burze szaleją. Czemu nie jestem szczęśliwą, pytałeś mnie, czy ja wiem sama czemu!
Czemu mnie Dziadusiu nauczyłeś myśleć i badać wszystko i ja długie, długie dnia godziny spędzam w towarzystwie tych myśli moich, które mnie nieraz do światów dalekich unoszą, otwierają krainy nieznane, widoki cudne, ale częściej jeszcze gnębią mnie bardzo, gdy na mnie samą patrzeć każą,

i ja widzę wtedy jasno, że jestem także nędzna, także wielkie zero!
Czemu Dziadusiu, choć ty mię kochasz i ciocia Aneta mnie kocha i Wiktor i Karusia uczucie szczere mają dla mnie, mnie tak bardzo pusto na świecie i dlatego pustkę tę chcę wypełnić pracą, tak, by ona mi była celem, ideałem w życiu.
Dziadusiu mój jedyny, ty masz swoje wspomnienia, przeszłość, ku której ciągle wracasz pamięcią, masz wnuki, które ci resztę życia zapełniają. Ambrożowie mają dzieci, pracę, dającą im zajęcie bezustanne i pożyteczne. Wiktor i Karusia żyją nadzieją szczęśliwej, niedalekiej przyszłości, a co ja mam, co, powiedz Dziadziu?
Ja was wszystkich bardzo gorąco kocham, ale wy mego ubytku nie odczujecie nawet, gdy pójdę w świat szeroki, a kto wie może ja innym przydatną się stanę i w tem szczęście swoje znajdę!

Mówił mi Dziadziś, że gdy wśród ludzi sama się znajdę, czeka mnie tam tyle zasadzek, tyle niebezpieczeństw, że ich zwalczyć nie zdołam. Mówił mi, że kobieta o własnych siłach iść nie może, bo słaba jest i o lada przeszkodę potknąć się może. Mówił, że szczęśliwą nie będę, choć pracę znajdę, choć będę wdzięczną nawet drogę do sławy otworzę, bo dla kobiety szczęście być może tylko u domowego ogniska. Wreszcie i to mi jeszcze powiedział, że jako jedyny mój opiekun stara się o staranie się będzie uczynić mi życie najznośniejszem. To mnie najwięcej zabolało. Dziadziś mnie nie rozumie, może mnie nawet o niewdzięczność posądzić, bo jemu się zdaje, że ja niezadowolona z losu mego się czuję, ja, o której wszyscy u nas myślę, którą wszyscy domowi tak szczerze kochają. I tego Dziadziś nie rozumie, że mnie często dobroć jego boli i upokarza, gdy pomyślę, że mam w sobie siłę, zdolność, ~~do pracy~~ energję do pracy, do czynów, a

tymczasem siedzę bezczynnie jak niedołężna istota i zajmuję miejsce, któreby i innym przydać się mogło.
Ostatecznym rezultatem mojej z Dziadziusiem rozmowy było wrażenie, że się oboje nie rozumiemy, że każde z nas kroczy po różnej drodze i z innych ~~poglądów~~ punktów na sprawę się zapatruje.
Dziadziś nazwał mój projekt wstąpienia do uniwersytetu mrzonką panieńską, którą lada powiew zniweczyć może — ja go za niezbity uważam i wierzę, że gdy w rzeczywistości go zdołam, uczuję się z siebie zadowoloną.
Czy ja wiem, może ja się za tragicznie na życie zapatruję, może nie powinnam zwracać uwagi na swoje mrzonki i skrupuły, a żyć tak jak inni, korzystając z chwili teraźniejszej. —

25 Kwietnia. Rada jestem ze spodziewanych gości, wniosą trochę gwaru miejskiego do naszego samotnego Glinkowa. Jutro ma

przyjechać z Warszawy pani Józefina z córką, że parę tygodni Wiktor i Dobrze, wesoło będzie w starym naszym dworze.
Ciekawam bardzo Stasi, mówią o niej, że sprytna, ożywiona dziewczyna, ja jej od lat pięćnastu nie widziałam, miała czas zmienić się moja kuzynka. Była wtedy szpilakiem, pieszczonem dzieckiem, które obiecywało w przyszłości stać się piękną panną.
Dziadzio zaprosił tych państwa do siebie, dowiedziawszy się, że pani Józefina potrzebuje wiejskiego powietrza, po ciężkiem zapaleniu płuc, jakie przebywała.
Jaki ten Dziadzio dobry, ot i tym nawet razem, wiem, że nigdy nie sympatyzował z panem Trockim, mężem pani Józefiny, nie wahał się jednak zaprosić go z rodziną do siebie, by chorej krewnej przyjść z pomocą. Dobrze się złożyło, że interesa powołały na ten czas pana Trockiego do Moskwy, same więc panie przyjadą do nas.

29 Kwietnia. Przyjechały, a raczej przyjechali, bo i pan Trocki, ~~brat~~ młodszy brat męża pani Józefiny z niemi. Trochę inaczej wyobrażałam sobie kuzynkę. Ładniejsza jest niż sądziłam, chociaż nie zdaje mi się, by ją należała do rzędu najsympatyczniejszych dla mnie natur. Jaka ja jednak niepoprawna jestem; zaledwiem ją ujrzała, a już wydaje mi się niesympatyczną, kto wie, może zasługuje ona na najpochlebniejszą ocenę. Cóż mi się w niej mogło nie podobać? Chyba ta pewność siebie, która odrazu uderza. Profil ma grecki, duże, ciemne oczy ocienione czarną rzęsą i brwią łukowatą, figurę ~~zgrabną~~ ładną, ruchy zgrabne i żywe — jednem słowem piękna, szykowna kobietka. Widać na niej ten nieokreślony wpływ wielkiego miasta, który daje się zauważyć w sposobie noszenia włosów, parasolki, w odpowiedzi trafnej a szybkiej, w uśmiechu dla każdego, w zgrabnym buciku, w eleganckim saku podróżny. My, mieszkanki wsi, nie mamy w sobie tego

niepochwytnych prawie rysów, które jednak tworzą całość wdzięczną i odrazu wpadającą w oko. Dowiedziałam się, że moja kuzynka lubi rozrywki i towarzystwo, zapytywała nas o sąsiedztwo, o panny, o t. zw. „epuzerów” (tytuł ten jest odpowiedni tytułowi „panny na wydaniu” i oznacza młodych ludzi, gotowych stanąć na ślubnym kobiercu). Utworzyłyśmy plany wizyt, z których rada jestem ze względu na Kamusię, rozerwie się trochę. —

Pani Józefina robi przykre, bolesne nawet wrażenie ze swoim ciężkim kaszlem i astmatycznym oddechem, który jej często mowę tamuje. Wygląda biedna jak z krzyża zdjęta, ale odrazu zauważyłam, że nie zwraca na siebie uwagi, a ciągle na swoją jedynaczkę patrzy, jej wesołej gawędy słuchając. Kocha ją bardzo; mówiono nawet dawniej, że ją swemi pieszczotami psuje, a teraz musi się cieszyć, patrząc na jaką piękną, dowcipną pannę wyrosła ta mała córunia. Gdy Stasia mówi, pani Józefina przerywa

najożywieńszą rozmowę, wsłuchując się w dźwięk
jej głosu, który ją raduje niezmiernie.
Jaka ona szczęśliwa, że ma swój ideał tak blisko,
a Stasi jak musi być dobrze na świecie z tą
dobrą, ubóstwiającą ją matką! —
W panu Michale Trockim przybył nam miły
bardzo towarzysz. Dawny to znajomy Dziadu-
sia, człowiek już nie pierwszej młodości, bar-
dzo rozumny, znany w Warszawie badacz prze-
szłości dziejowej i lingwista. Wiem nawet, że i
literatura piękna zawdzięczała mu dawniej prac
parę, ale od lat kilkunastu zarzucił powieść i
oddaje się ściśle naukowym studjom. Mówiła
Stasia, że ma obecnie w swej tece obszerne
dzieło o wspólnych źródłosłowach w polskim
i niemieckim języku. Stale mieszka w Warsza-
wie, dokąd wraca po tygodniu do zajęć i dzieci,
które powierzył rodzicom swej żony. Musi te
dzieci bardzo kochać, z takiem uczuciem opo-
wiadał nam o nich, pokazywał fotografje:
ładny, dwunastoletni chłopak, a przy nim o

rok młodsza, wątła dziewczynka, które, jak powiada pan Trocki, cały świat jego stanowią. Żonę stracił od lat kilku i stara się dzieciom swoim nie dać odczuć tej straty, opiekując się niemi z prawdziwie macierzyńską czułością. I teraz śpieszno mu do nich, odprowadził brata obie[?] tnicy, odwożąc rodzinę jego do Glinkówka, a sam powraca do swoich „piskląt", jak je nazywa. Dziadzio o zupełnym wyjeździe pana Michała słyszeć nawet nie chce, daje mu tylko urlop, by do Warszawy jechał po córkę i syna i do nas z nimi powracał.

__10 Maja__. Czy ja jestem taka stara, czy znudzona, czy kapryśna? – sama siebie zrozumieć nie mogę; chcę się przyzwyczaić i wcielić do tej fazy wesołości, jaka u nas zapanowała, próbuję nie odezwać się fałszywym dźwiękiem w ogólnym nastroju, lecz to mi się nie udaje, mnie to nie bawi. Stara – nie jestem, Stasia w równym wieku ze mną, a przecież jest główną sprężyną wszystkich zabaw, inicjatorką wizyt, srebrnym

dzwonkiem, co towarzystwu czas nieczęsty przypomina. Znudzić się nie miałam czasu; w życiu mojem tak mało zabaw używałam, że powinny mieć dla mnie jeszcze urok nowości.

Często przychodzi mi na myśl, czy nie egoizm budzi się we mnie, czy nie dlatego obojętne mi są wesołe twarze, że moja własna utworzyć się nie chce do uśmiechu i Dziwne to, oni się bawią, tańczą, jeżdżą, ja z nimi, ale myślą tak daleko od nich jestem, a nawet nie tylko myślą, ale całem mojem wewnętrznem ja, bo wolą i uczuciem.

Nadto ciągle teraz jestem w sprzeczności sama z sobą. Zawsze mi się dziwnymi i nienaturalnymi wydawali ludzie, upatrujące śmieszne, szare strony we wszystkiem, co ich otacza i myślałam o nich, że nie razi ich świat zewnętrzny, ale ów dysonans, jaki wypływa z zestawienia ich własnego akordu z ogólną harmonją. I przykro mi się robiło, gdy słyszałam ich śmiech ostry, przenikający do najmniejszej komórki serca, przykro mi było ze względu

na nich, na tych biedaków, którzy walczy-
li ostrą bronią szyderstwa przeciw ~~własne~~-
~~mu~~ bólowi. A jednak i ja tej słabości
uległam i przed samą sobą w prawdzie, lecz
nie mniej ~~szyderczo~~ ~~sam~~ ironicznie uśmie-
cham się ~~z ludzi, ich wesołości tego kółka~~
~~tem~~ z tego kółka ludzi, które mię otacza,
uśmiecham się z ich wesołości bezsensownej,
ich miałkich ideałów, ich płochych celów.
I nie bawi mnie dowcip mojej kuzynki,
ani zabawy przez nię urządzane, ani nawet
ludzie, którzy jak w kalejdoskopie przesuwa-
ją się przed moim wzrokiem, ani tańce,
w których biorę udział, ani spacery, do
których należę. I nie tylko, że mnie nie
bawią, ale jakąś dziwną przepełniają gory-
czą, bo nie znajduję w nich ani jednego oddźwię-
ku z tej walki, która się wewnątrz mnie
rozgrywa.
Od czasu rozmówienia się z Dziadusiem,
ciągle tracę grunt pod nogami.

Wyobraziłam sobie życie moje, jako płynące pewną drogą, a gdy pękł sznurek, który moją teraźniejszość z marzeniami łączył — nawiązać go inaczej niż był — nie potrafię. Jakże zwrócić pęd myśli moich na inne szlaki, gdy te, na których dążyłam, nie przestają mnie nęcić.

Tłómaczę sobie, że wszystko było postawione na jedną kartę: przegrałam, więc koniec sprawie. Ale nie, logika przekonać mnie nie może, wciąż do swojego powracam i zaczyna się rodzić we mnie wątpliwość, czy sprawa rzeczywiście była przegraną, czy nie należałoby jej wszcząć na nowo. Zacząć, a jak? Czyż argumenta przezemnie Dziadusiowi przytaczane nie były wystarczające? Dlaczego się nie zgodził, dlaczego postawił veto tam, gdzie odpowiedź twierdząca zdawała się być ~~ko~~ koniecznym wynikiem moich dowodów.

Dochodzę do przekonania, że moja myśl i Dziadusiowa nigdy się nie zejdą, to są

względem siebie równoległe
<u>16 Maja</u>. Parę zaledwie miesięcy przekształ-
ciło tak bardzo Katusię. Dziecko niedawno,
teraz kobieta silna, uświęcona głębokiem uczuciem.
Gdy patrzę na nią i Wiktora, zda mi się, że
słyszę piękną, ~~melodję~~ pełną życia ~~melodję~~ harmonję
Kochają się oboje, kąpią dusze swe w czystej
i silnej miłości, która przed oczyma im stanie,
gdy w wędrówce ~~ży~~ przez życie, przechodzić będą
nad czarnemi, głębokiemi przepaściami, peł-
nemi zasadzek i niebezpieczeństw, brzydkich,
złośliwych potworów, których łuska zdradzie-
cka, błyszczy zdaleka oślepiającemi barwami.
Kochają się; on - uczuciem swem mocny, mie-
rzy świat cały ~~wzrokiem~~ wejrzeniem pogodnem,
wierzy w przyszłość, która się ku niemu przez
te habrowe oczy uśmiecha, a gdyby mu kie-
dy sił, odwagi zabrakło, wie, że źródło ich
znajdzie w tem sercu, + wielkiem przez miłość!
Słowa entuzjastki Żmichowskiej przychodzą
mi na myśl i zdaje mi się, że je Wiktor

śmiało powtórzyć może:
Miłość kobiety! — o ja z darów Bożych,
Niech tylko sobie ten jeden upomnę,
Ja będę wielki, cnotliwy i święty!
Takiego szczęścia ludzie zniweczyć nawet nie mogą; na samym wstępie znaleźli błogosławieństwo rodziców, Dziadusia i przyjazne uczucie wszystkich, którzy ich znają.
Uśmiecha się im nawet wiosna, szląc złote, majowe promienie, jakgdyby im życzenia swoje składała.
Szczęść im Boże!
Stasia tę sielankę, jak nazywa, znajduje dość zabawną, ale z czasem powiada, że znudzą się nią oboje; jéj Stasi natura potrzebuje wrażeń silnych, choćby prędko przemijających, lecz nie słucha srebrnych, melodyjnych tonów, których łagodność nudną się jéj wydaje.
Muszę przyznać, że ja sama, może za idealnie na tę naszą zakochaną parę spoglądam, lecz wynika to z wielkiéj przyjaźni, jaką

ku nim żywię, inaczej bowiem dziwną by się wyda-
wała we mnie, dziecięciu końca dziewiętnastego
stulecia, ta aureola świętkami, którą ja ich
otoczam i mógłby ją ktoś przyjąć za jeden
z ekscentrycznych pomysłów fin de siècle'u.
Stasia, która jest szczerem dzieckiem swoich
czasów, widzi w tem małżeństwie „dobrą partję",
jaką robi Karusia. „Dobra partja"! — a gdy-
by ten sam Wiktor ze swemi zaletami i wadami
z tą samą swoją ujmującą powierzchownością, ale
bez Glinków i Czerepek — żenił się z Karusią,
„dobrej by partji" nie robiła ona, a zatem
logiczna konkluzja, że właściwie nie Wiktor,
lecz obie wsie jego „dobrą partję" stanowią.
Wychodzi więc za Glinków i Czerepków Karusia!
Jakie to dziwne! Zresztą nie jest to za-
patrywaniem jednej Stasi tylko, miałam
sposobność spotykania się nieraz ze zdania-
mi podobnemi Stasi i w postępowaniu
z ludźmi stosuje je często. Wszak jasnem
jest jak dzień, że pan X. to gwiazdka

naszej opiekicy: Chłopak dobry co się zowie, przy tem bardzo przystojny, „typ” mojej kuzynki, jak go nazywała, nie zwrócił jednak jej szczególnej uwagi, gdyż na małym siedzi folwarku, którego połowę siostrze oddał dobrowolnie, czyż może zatem uchodzić za pożądanego epuzera, i iść w porównanie z panem Kadesantym?
O ten ostatni nie byszczy dowcipem, nie grzeszy urodą i nikt o nim powiedzieć nie może, by za filantropa uchodził, lecz za to jego tysiące, to fortuna nie lada, a gdy zajedzie przed ganek czwórką kilkotysięcznych cisowców, gdy zrzuci na ręce laliberyjowanego lokaja szubę sobolami podbitą – pannom oczy się śmieją i z za mgły widzą pałac w tysiącznej salonu grzmi przepełnione i siebie w roli mocnej, strojnej w brylanty gospodyni.
Kto wie, czy nie znalazła się nareszcie taka która te wszystkie cuda posiędzie, a będzie nią bez wątpienia Stasia, bo za często

chyba pan Walesanty nasze progi odwiedza, by mieć jedynie na celu złożenie swego sza-cunku Dziaduniowi, a kuzynka moja nie daremnie ku niemu wzrok przyjazny skierowuje.

Każde ma inne o szczęściu pojęcie i w innej stronie go szuka. Jesteśmy trzy panny w Glinkach i w trzy różne strony za tem szczęściem dążymy. Karusi szczęście to czar-na czupryna jej ekonomiczka, moje dalej; bo w jakiemś pensjonacie w Genewie, a Stasi w Tyrowie, w arystokratycznych salonach, które na innej fortuny, szeroko się przed nią otworzą.

A która z nas najszczęśliwszą będzie?

Karusia swoje szczęście ma najbliżej; Stasia zaledwie sięgnąć po nie potrzebuje, a moje?.... daleko ono, daleko, a droga ku niemu trudno-ściami usłana, lecz gdy przeszkody zwalczę, trudności usunę, gdy stanę pod sztandarem, którego g. hasłem jest wiedza i praca, czy

szczęście moje nie będzie najistotniejszem?
Dlaczego ja znam tak mało pokrewnych
mi celem pionerek światła i dobra?
Ja jestem mała, nieznacząca kruszyna
wśród całej tej masy ludzi, których wspie-
rać potrzeba radą, nauką, sercem, nieść po-
chodnię przed nimi, bo oni drogi nie znają,
nie wiedzą, że na niej leżą ostre kamienie,
które im stopy ranić będą.
O, jakbym chciała posiąść tę odrobinę wiedzy,
by na czele ludu tego stanąć, by go bronić
od nieprzyjaciół, którzy przybywają ku
niemu ze świata zewnętrznego i również
z pośród ich własnej gromady, gdzie zło wszelki
szeroki pole do działania znajduje.
<u>28 Maja.</u> Jakie to miłe dzieci ten Ma-
nio i Jadzia! Odkąd je pan Michał przy-
wiózł z Warszawy – poprzyjaźniliśmy się bar-
dzo i nierozłączni prawie jesteśmy. Dzieci
spragnione świeżego powietrza pól i lasów,
dnie całe spędzają na dworze, wybrawszy

mnie za towarzyszkę zabaw, spacerów i powierniczkę ich małych tajemnic, wypowiadanych z powagą przezorów dyplomatycznych. Chodzimy po polach i lasach, herboryzujemy zawzięcie, a ileśmy motyli uśmiercili, ile gniazd zdobyli, ile sukien rozdarli! Pan Michał wciąż mnie przeprasza za ten mniemany kłopot, jaki mi jego pieszczochy sprawiają, daremnie się wymawiam, że to nie kłopot żaden, a raczej przyjemność obcowanie z tymi małymi, dobrymi przyjaciółmi, których tak lubię i którzy mają wielkie, wielkie zaufanie do mnie. Serdecznie się nieraz uśmieję z ich trafnych porównań, naiwnych pytań, cisnących się do tych główek, które chciałyby wiedzieć o wszystkiem, co je otacza i zdają sobie jasno sprawę z każdego, codziennego wydarzenia. Wdzięczna nawet im jestem, że pozwalają mi ~~się~~ oddalać [się] od domu i obowiązków względem naszych gości. – Pani Józefina ciągle bie-

dna cierpiąca, siedzi na słonecznej werendzie, by do płuc chorych ożywczego powietrza zaczerpnąć, lub z radością i niepokojem śledzi tryumfy Stasi, której pan Kalasanty stał się zupełnym niewolnikiem. Szybkim krokiem poszła ich sprawa, parę dni temu zamienili pierścionki i nasze Glinki mieszczą w sobie obecnie dwie pary narzeczonych. Cóż mi czynić pozostaje wśród tego towarzystwa, któremu każdy obcy intruz miłym się wydawać nie może. Latam więc po polu z Jadzią i Munią, a ich rozumny ojciec niéraz mi te przechadzki przyjemną gawędą umila. Pan Michał jest nietylko człowiekiem bardzo wykształconym, lecz ma także dużo serca, które się w poglądach jego na świat i ludzi przebija; ma on nadto prawdziwy dar słowa, który z każdej jego gawędy czyni śliczny, życiem tryskający obrazek. Opowiadał mi o swoich podróżach, zwiedził bowiem duży kawał świata, a kraj swój

zna tak dokładnie jak wieś rodzinną. Będąc jeszcze młodym chłopcem, postanowił sobie za zadanie, nie wyjechać nigdzie zagranicę, dopóki nie objedzie kraju całego, nie pozna dobrze jego mieszkańców, ich obyczajów. Zwiedził, i wtedy dopiero udał się dalej, by i o obce progi zahaczyć.
Tematu do rozmowy nie brak nam nigdy: lada roślinka, zdanie jakieś, niewinny figiel Hanka — dostarczają nam tła, które pan Michał potrafi zasnuć wątkiem pięknych myśli, trafnych spostrzeżeń i naukowych objaśnień. Poruszaliśmy i kwestję emancypacji kobiet. Pan Michał zapatruje się na nią z punktu widzenia człowieka, którego każde dążenie śmiałe i mające godny cel przed sobą — żywo interesuje. Darzy więc sympatją i współczuciem te kobiety, które z miłości prawdy i dobra idą na uniwersytet, wiedząc, że wiele trudów je czeka, lecz idą z wiarą o zacność myśli przewodniej i tą ufnością

w siebie, która jest udziałem istot młodych i duży zapas sił w sobie mających.
Moich projektów nie wyjawiałam przed nim, nie lubię bowiem i nie umiem mówić innym o sobie, a i teraz o moich marzeniach uniwersyteckich nikt chyba nie wie oprócz mnie i Dziadunia, domowi może się nie domyślają nawet, że wśród nich znajduje się przyszła adeptka kultu Eskulapa. Rolę powiernika odegrywa ten zeszyt, ku któremu z całą otwartością się zwracam i który ma tę dobrą stronę, że z wielką cierpliwością mojej spowiedzi słucha.
<u>17 Czerwca</u>. Czyżbym się kiedy tego spodziewać mogła? Dziś oświadczył mi się pan Michał. Oświadczył się, a mnie jak błyskawica przeleciała myśl przez głowę: odmówić, i odmówiłam. Teraz, gdy się głębiej zastanawiam, pytam siebie, czy dobrze zrobiłam, słuchając w danej chwili instynktu, odruchu mimowolnego raczej niż jasnej woli. I zapytuję siebie, czy ja

mam prawo odtrącać przyszłość wyraźną, zgodną z wolą Dziadusia i mojem o szczęściu wyobrażeniem, odtrącać na to, by dalej wyciągać ręce ~~ku~~ ku snom niespochwytnym, które Bóg wie tylko jeden, czy rzeczywistością staną się kiedy. — Szukałam celu w życiu czyżbym go nie znalazła w tym losie, który się ku mnie uśmiecha, czyż starannie podjęte koło wychowania dzieci pana Michała, nie dostarczyłyby mi pracy pożytecznej, której tak pragnę?

A jednak odmówiłam, i teraz zdaję sobie jasno sprawę z mego postępku. Odmówiłam, bo ja bez miłości za mąż nie wyjdę, a ja tego człowieka szanuję, cenię, lubię bardzo, ale go nie kocham. Czuję, że miłość jest inna niż te wszystkie uczucia, któremi go darzę; miłość moja byłaby gorętsza, ~~bardziej~~ więcej z serca płynąca, tak by mnie tchnieniem swem owiała, tak jasnością swą ogarnęła, że ja po za ukochanym niebym widzieć nie mogła,

żyłabym tylko przez niego, stałabym się „je=
go cieniem, jego echem."
„Ty do Allaha modliłbyś się za mnie,
Ja, do jakiego chcesz Boga za ciebie!"
Taką by była moja miłość, a ja takiej ku
panu Michałowi nie czuję, bo serce pozosta=
je obojętnem na jego wspomnienie i myśl
moja ledwie go chwilę ogarnie a zwraca się
cała ku marzeniom moim, ku temu celowi,
który sobie wytknęłam.
Zresztą, jest to nawet objaw naturalny, czyż mo=
głabym bowiem kochać miłością gorącą człowie=
ka, któryby mógł być ojcem moim prawie,
i który jest mi przyjacielem, przewodnikiem,
wszystkiem wreszcie, ale nie ukochanym.
A druga przeszkoda jeszcze. Gdy mi się oświad=
czał, mówił, że chciałby mnie mieć za żonę
dla siebie i za matkę dla dzieci swoich. O moja
droga Jadziu i Maniu! Kocham was bardzo,
gdybym mogła, niebo wam bym przychyliła,
ale być waszą macochą? ~~nigdy~~, nie, to dla

waszego i mego dobra być nie może.
~~Chciał~~ Pragnęłabym mieć dzieci własne, które bym mogła wychowywać i opiekę otaczać, i zdaje mi się, że zadanie swoje spełniłabym dobrze, ale brać na siebie odpowiedzialność za wychowywanie dzieci choć tak bliskich, ale tak obcych — jakiemi są pasierbowie — byłoby zbyt trudnem dla mnie.

To mi wszystko przyszło do głowy, gdy zostałyśmy sama i zaczęłam rozmyślać nad pytaniem pana Michała i nad moją odpowiedzią.

Jak się stało, że mi odrazu odmowna na myśl przyszła — pojąć nie mogę, ale stało się dobrze, narazie zerwałam wszelkie nadzieje tem stanowczem: nie.

Przykro mi bardzo, że zażyły, przyjazny stosunek, jaki trwał między nami zerwać się może po tem co zaszło, lecz chyba nie, pan Michał to człowiek taki rozumny, postaram się mu jasno wszystko wytłómaczyć, on mnie pewno pojmie.

Boli mnie jeszcze, że temu dobremu panu Michałowi przykrość wyrządziłam, mimowolnie wprawdzie, bez żadnej winy z mej strony, bo ani jednem słowem, ani myślą nawet nie upoważniłam go do tego kroku, lecz z tem wszystkiem rozumiem, że może czuć żal do mnie i myśl ta prawdziwą mi przykrość sprawia. —

I jeszcze jedna nieprzyjemna kombinacja. Coby Dziadziuś powiedział, dowiedziawszy się o propozycji pana Michała i mojej odmowie, on, który tak pana Michała kocha, szanuje, a dla mnie chciałby małżeństwa ~~jako~~ ze względu na moje szczęście i dla tego jeszcze, że mrzonki uniwersyteckie wybiłoby mi z głowy. Czy ja będę śmiała powiedzieć kiedy Dziadusiowi co ja bez jego wiedzy uczyniłam, bo na tej drodze, która się tu mnie otwierała, szczęścia swego nie widziałam, a nie chciałam rozstawać się z myślą o innej przyszłości. —

18 Czerwca. Nie zawiodłam się na panu Michale; człowiek ten oprócz swoich wielkich zalet posiada uczucia tak delikatne, tak subtelne, że zrozumieć innych potrafi i odczuć to, co głęboko przed oczyma świata jest ukryte. On i mnie zrozumiał. Powiedziałam mu wszystko o czem wczoraj po jego oświadczeniu myślałam i jemu, jako przyjacielowi wyznałam to, co przed innymi kryję, o moich marzeniach, o mojem pragnieniu wiedzy, o przeszkodach jakie mnie ze strony dziadusia spotykają, a pan Michał w te mniej więcej odezwał się do mnie słowa:

„Że panią życie obecne nie zadawalnia – zaraz odgadłem, wyczytałem z twarzy pani, ze słów niektórych, gdyż między niemi wiele domyślać się było można. I nie zdziwiło mnie wcale, że życie to, ~~które~~ jakie pani prowadzi na pół bezczynne, na pół zajęte drobnemi, codziennemi sprawami i troskami, wystarczyć pani nie może, bo panię do

tego małego światka nie wiążą ani obowiązki, których pani w nim prawie nie masz, ani upodobania, które przy pani ukształceniu i bystrości umysłu - gdzieindziej sięgają. Widziałem jasno, że panią myśl jakaś prześladować musi, myśl głęboka, ale smutna, jakaś nadzieja zawiedziona, lub niespełnione marzenie.

Zdawało mi się zrazu, że to chyba miłość nieszczęśliwa, bo miłość to jest żywioł, w którym kobieta młoda żyć musi, nie ocali jej od niej ni wykształcenie, ni rozum, ni rachuba nawet. Wtedy mi przyszła myśl, że pani może ~~nie zważając~~ zechce przyjąć mię za dozgonnego przyjaciela swego, któremuby ster życia ~~swego~~ śmiało powierzyć mogła, bo jabym panią starał się zrozumieć i osłaniałbym ją siłą mego doświadczenia i uczucia, a za to miałbym u siebie dawne, wygasłe ognisko domowe i serdeczną opiekę dla biednych sierot moich. Myśl ta nie była

szczęśliwą może, ale że z serca płynęła więcej pani, i niech pani jeszcze temu wierzy, że większego przyjaciela nie znajdzie pani nad mnie. — Ale mówmy lepiej o tem co było, rozmowa to dla nas obojga drażliwa, ~~pomówmy raczej~~ na co mącić chwile wspólnej gawędy, ~~pomówmy raczej o tem~~ które niestety prędko skończyć się muszą, gdyż już za dni kilka do Warszawy powracam. Pomówmy raczej o tem, co panią tak żywo obchodzi, o jej projektach na przyszłość.

Chciała pani wiedzieć, co sądzę o tym prądzie, który ogarnął Europę całą, o kwestji emancypacji kobiet.

Pani moja, mówiłem ci już kiedyś, że te kobiety, które życia rodzinnego nie mogą sobie stworzyć, dobrą i właściwą drogę obierają, idąc na uniwersytet, by, po prostu zapełnić tę pustkę, którą odczuwa każda z was, patrząca na życie rodzinne, którego dla wszystkich jakichkolwiek przyczyn, nie jest i być nie może.

Są takie, które szczęścia w małżeństwie nie widzą, a wychodzić (z zamkniętemi na przyszłość oczyma nie chcą. Są takie inne, które współzawodnictwo z mężczyznami gna tam, gdzie znaleść mogą sławę, medale, podziw świata. Są jeszcze i takie, które tak jak pani pragną nauki dla niej samej i dla tego dobra, które z niej wypływa.

Pytasz mię pani, czy jabym tym wszystkim kobietom na uniwersytet wstępować pozwolił? Dlaczegóż nie, niech idą i zbierają naukę, sławę, dyplomy, niech w pracy swej znajdują cel, którego zdawało się im brakować, a społeczeństwo nasze nie straci, gdy zamiast zwykłych starych panien, trudniących się wyrobem kwadratów włóczkowych, hodowaniem kanarków i psuciem sławy bliźnich, będzie miało garstkę kobiet wykształconych, poświęcających mu pracę swoją i siły.

Czy wie pani jednak, dlaczego my mężczy=

źni, nieprzyjaźnie nieraz patrzymy na odepchnięcie wyższego kształcenia się, bo się boimy, by nie straciły one tej słodyczy, miękkości w obejściu, tych subtelnych uczuć, które już każda mała dziewczynka nosi w sobie, jednem słowem, by nie straciły „kobiecości" w sobie, tego co niemcy zowią: das echt Weiblich i nie wpłynęły pod tym względem ujemnie na nasze żony, siostry, córki, całe grono bliskich nam młodych kobiet, którym wdzięk, słodycz - czar prawdziwy na nas rzucają. Nie zaszkodzi bowiem w żadnym razie nauka kobiecie, ale zaszkodzi jej, gdy w tej nance utonąwszy, zapomni o całym własnym światku, jej tylko właściwym, którego urok roztacza dokoła.
Kobieta powinna zawsze kobietą pozostać, czy będzie ona zajmowała stanowisko najbiedniejszej szwaczki, czy matki rodziny, czy profesora w uniwersytecie, nie powinna za żadną cenę pozbywać się tego skarbu,

z którego my czerpiémy często drogocenne klejnoty dla serca i umysłu naszego.
Gdyby Jadzia moja po ukończeniu zwykłego kursu nauk, chciała się kształcić wyżej i jako ~~drogę~~ środek ku temu uniwersytet obrała — nie broniłbym jéj woli, tylko pragnąłbym w nią wszczepić miłość ku powołaniu kobiéty, które ~~jest~~ jak mówi nasza stara, poczciwa Hoffmanowa jest by: „szczęście widzieć w sobie" tak, by go i innym udzielać i „obok światła prostotę ducha zachować."
W uniwersytetach ciągłe obcowanie studentek ze studentami, ta konfraternija naukowa, oddziaływa bardzo na zdjęcie téj aureoli, którą od dzieciństwa zwykliśmy otaczać kobiéty i widziéć je w świecie innym, dla nich tylko dostępny.
Znajduje pani pewnie, że za mało kobiet poświęca się wyłącznie nauce, ale niech pani pomyśli nad kwestyą majątkową

terjalną w tym wypadku. Między temi, które o wyższych zakładach naukowych marzą, mała jest liczba niezależnych majątkowo. Z pewnością, że wiele z tych, które są zmu=szone zarabiać na chleb powszedni, z rozko=szą zgodziłyby się na kilkuletnie studja, któreby im na przyszłość zapewniły oprócz zdobyczy umysłowych i byt lepszy od ich teraźniejszego. Ale za kosztowna ~~do~~ to dla nich zabawka! Muszą pozostawać na dawnych stanowiskach buchalterek, kasjerek, nauczycielek najczęściej, że nie mówię tu o tych, które kosztem rodziny swej żyją, bo to im chleb zapewnia, chleb gorzki, ciężką pracą zdobywany, a pracą cichą, pokorną, źle nagradzaną i zapoznaną. Nie chęci im brakuje, tym biednym męczennicom do=bieżgów życia, ale tego kruszcu marnego, przy pomocy ~~bez~~ którego nawet nauką skusić można.

— Poznawszy panią bliżej nie dziwię się wcale, że wybrałaś medycynę jako środek,

wiodący do celu twego, bo celem twoim, celem dzisiejszego wieku jest praca pożyteczna, na racjonalnych podstawach oparta.
Że idealistką jesteś, nie przeczę bynajmniej, widzę to z wielu słów twoich, z czynów nawet, choćby z twego stosunku z Dziadunią, lecz ten idealizm twój gruszony jest przez rzeczywistość, która wieku naszego hasłem się stała, która nie uznaje mglistych słów, marzeń bezcielesnych, nie lubuje się w przenośniach i apoteozach, a chce prawdy, nagiej, bezwzględnej, w imię dobra ogólnego bierze skalpel do ręki, bada, analizuje, robi doświadczenia, wiwisekcje, by dojść najdrobniejszych części składowych, każdy mikrob na światło dnia wydobyć.
To jest, pani moja, prąd, który ogarnął społeczeństwa całe, i ty mu ulegasz, ulegasz wrażeniu, bo natura twoja ma w sobie oprócz tego ~~dużo~~ pierwiastków innych, z odrębnego świata czerpanych, gdzie są jaszcze ideały

przyobleczone w szaty świetlane, z aureolą promienną nad czołem; i te pierwiastki często się w tobie odzywają i ty je zwalczyć chcesz tem wszystkiem, co słyszałeś od książek i ludzi o pozytywiźmie, realnym, praktycznym poglądzie na życie. Czy wiesz pani do czego mi przychodzi ochota porównać naturę twoją, oto do tego co w literaturze nosi nazwę: ~~poez~~ prozy poetycznej, to jest do utworu, który duchem swym i treścią jest najczystszą poezją, a przyobleka się w formę zwykłej, codziennej mowy, by z większą siłą wpoić się w duszę czytelnika. Wybrałaś więc medycynę i słuszność masz wielką. Masz bowiem pole do czynu jasno wskazane, a ileż na niem zdziałać może, taka jak ty, kobieta z sercem.
Bo nieraz u przyjdzie chorych twoich leczyć nie mikstura, nie teorją nabytą, ale przyniesieniem im ulgi słowem, porozu-

jomieniem się ze stanem jego duszy, do któ-
rego wy kobiéty, z taką subtelnością uczucia
wniknąć umiecie, spostrzeż niepochody-
tne prawie dla innych odcienie.
— Prawda pani, poglądy moje podobne
są do pani poglądów i dodać muszę, że
uchylam czoła, przed odważnemi temi
pionerkami, które często drogą wielkich tru-
dności, a nawet głębokich upokorzeń, do ce-
lu swego dochodzą. Przeszkody, stojące
im na drodze, zaddrużczają wczęści tym bez-
myślnym swoim poprzedniczkom, którym
się zdawało, że arogancka mina, papieros
w ustach i krótkie włosy, tak samo są
potrzebne do zrównania ich z mężczyznami,
jak znajomość łaciny i patent dojrzałości.
Na szczęście, typy takie należą dziś do za-
pomnianych, ale pozostały w pamięci ludzkiéj
i wyraz studentka, emancypowana,
nawet doktor-kobiéta wywołuje pogardliwy
uśmiech na usta ludzi, którym tamte ty-

py - żywo stoją przed oczyma. Do rzędu tych ostatnich należy i dziadek pani. Dodać jeszcze muszę, że zalicza się on do tej partji, która ku wszystkiemu co nowe, nieprzyjaźnie jest usposobioną, wprost dla tego, że to nowość, a zatem niepodobna do starych ideałów, które ta partja uznaje. I pani i ja nie dziwimy się Dziadusiowi; bo: tout comprendre, c'est tout pardonner, a rozejrzawszy się bliżej widzimy, że nieco innego nim kieruje, tylko żal, żal serdeczny za tem wszystkiem, co z czasem minęło i stąd niechęć ku temu co nowe i tak różne od dawnego.

Ja bliski jestem starości, a jej progu już stoję, a jednak, gdy widzę starców, którzy jak deski zbawienia chwytają się wspomnień swoich, patrzeć nie chcąc na dzień dzisiejszy — smutek głęboki mnie na ich widok ogarnia, bo pomyśl pani, jakie to okropnie przykre, żyć wobec,

niezmiernej stronie, mieć tylko przeszłość bezpowrotną za sobą, a od przyszłości niczego się nie spodziewać. My, którzy dziś dzisiejszym żyjemy, widzimy przed sobą pełno pełne nadziei, też, lub uśmiechów, bo różne niespodzianki gotuje nam ta nadzieja. Chwila obecna jest dla nas jakby wstępem bo zawsze się czegoś od tego jutra spodziewamy, czegoś pragniemy. A taka starość która szparkiemu krokowi młodości nadążyć nie chce, lub nie może, widzi po za sobą tylko złote iluzje, niespełnione pragnienia, próżne walki!
Prawda sam, że to smutne!
Dziwisz twój nie chce uwzględnić wiele pojęć chwili obecnej, bo ich nie rozumie, trudu sobie nie zadaje by je zgłębić, gdyż jego te dążenia drażnią, przykrość mu sprawiają, bo na każdym przypominają kroku, że sprawy, w których on brał kiedyś udział, już w inne, młodsze przeszły ręce.

Niech pani sobie wyobrazi, że pewna gromada ludzi idzie po skarby gdzieś ukryte; idą razem, zgodnie, ale wskutek braku sił lub wytrwałości, odłącza się jeden, drugi, trzeci, a gromada wciąż idzie i z oczu im znika. Ci pozostali muszą mimowolnie nawet stać się nieprzyjaciółmi tamtych, bo na myśl im zaraz przychodzi, że tamci pierwsi dojdą do skarbu, zabiorą go i między siebie rozdzielą, nie zostawiając nic dla dezerterów, którzy ich w pół drogi opuścili. — Duch czasu ogarnia jednych, bierze, niesie ich z sobą, owinąwszy miękką połą swego płaszcza, innym zaś tym samym płaszczem — kurz i piasek w oczy niesie. Bronią się ci inni przeciw niemu, a sądząc, że tem ducha czasu zniszczą, rzucają swoje strzały ku wybranym, którym dobrze i błogo pod opiekuńczem, ~~okrzydł~~ potężnem skrzydłem. — Wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć i uwzględnić, gdybyśmy więc z tej

zasady wyższe, starali się zjednać Dziadusia dla sprawy pani i przedstawili ją nie w świetle dążeń ogólnych, ale osobistego jej szczęścia, kto wie, czy nie zgodziłby się sam, dobrowolnie posłać panią po te szczęście, którego tu, niestety, znaleźć nie możesz. Spróbujmy. Ja użyję całej siły swego wpływu i wymowy, bo chcę dobra pani, jako jej przyjaciel i jako członek społeczeństwa, w którem podobne pani osoby, powinny posiąść jego sympatję i poparcie.
Dziś więc jeszcze z Dziadusiem postaram się pomówić, a teraz proszę o uścisk ręki pani na znak, że zawsze przyjaciołmi zostaniemy i nie zapomni pani o mnie i dzieciach moich, które tak ją kochają."
— O jakże chętnie dłoń mu uścisnęłam i zapewniłam o szczerej przyjaźni, jaką żywię ku niemu.
Rozumny, zacny człowiek; dodał mi wiary

w siebie i sprawę moją, cel jej pojął i za godną pracy uznał. Jakże mu za to wdzięczna jestem.

20 Czerwca. Dziadek pozwolił! Zaledwie własnym słowom wierzę, gdy je piszę, bo na nie długo, daremnie czekałam, a przyszły do mnie tak niespodziewane, a tak pożądane. Dziadek pozwolił. Zawołał mnie wczoraj do siebie, po długiej z panem Michałem rozmowie, wskazał na niego i rzekł:

„To jest twój obrońca, dziecię moje, który nietylko sprawę twoją wygrał, ale nadto, bez słów nawet wyraźnych, przekonał mnie, że ja zimnym egoistą jestem, stając na drodze do szczęścia twojego, gdyż nie chcę się rozstawać z zasadami mojemi, a ciebie chcę nagiąć do przekonań, które wyznaję. Idź, i niech cię Bóg prowadzi po drodze, na którą nie stąpały wprawdzie babki twoje, ale która jest dobrą, bo zacne, szlachetne dążenia ma przed sobą" —

I ja do stóp Dziaduniowi upadłam, całowałam te drogie ręce jego, stare, pomarszczone, któremi na przyszłość moję wskazywał, mówiąc, że przez to ból sobie sprawia.
Mówisz mi: „idź" Dziadusiu, więc pójdę w ten świat wymarzony przezemnie, pójdę śmiało, odważnie, bo błogosławieństwo lat twoich na mej głowie spoczęło, bo świat ten mnie życie, i wolę, i szczęście dać obiecuje, lecz czy ja tam naprawdę szczęście znajdę?

